

BIBLIOTEKA MICHAŁA FRIEDMANA מ



ALTER KACYZNE

---

# Stare Miasto

---

tłumaczenie Michał Friedman

  
wolnelektury.pl



FUNDACJA  
nowoczesna  
Polska

ALTER KACYZNE

## Stare miasto

TŁUM. MICHAŁ FRIEDMAN

Kiedyś ten labirynt wąskich uliczek przebiegających między wysokimi, szarymi kamienicami był sercem Warszawy. Obecnie jest już tylko peryferyjną dzielnicą miasta. Przywodzi na myśl jakąś narośl na zdrowym ciele. Na ciele nowoczesnego miasta, w którego żyłach jakoś inaczej płynie krew i serce bije inaczej.

Żydzi nazywają to miejsce Starym Miastem. Ma ono sobie tylko właściwą specyficzną atmosferę. Nawet powietrze w nim jest zupełnie inne niż w pozostałych dzielnicach Warszawy. I ludzie tutaj inaczej wyglądają. Odnosi się to zarówno do Żydów, jak i do nie-Żydów. Wszyscy tu mają twarze jakoś poszarzałe i jakby przywiędłe. Jakby kurz dawno minionych lat i dawnych pokoleń wgrzył się w fałdy ich ubrań i przykleił się do zmarszczek na ich twarzach. Słowem, panuje tu istna szarzyzna. Ludzie chodzący po uliczkach wloką za sobą cienie szarych, wysokich kamienic. Chodzą wąskimi chodnikami prawie przylepieni do murów. Przytuleni do nich niczym dzieci do kolan matki. Wąskie, choć wysokie kamienice sprawiają wrażenie, jakby stały na spuchniętych nogach. U dołu są bowiem szersze niż u góry. Szare ściany ześlizgują się na brudny chodnik, jakby szukały w nim oparcia przed gwałtownym upadkiem. Nie ma tu zwykłych, typowych bram. Wąskie, obdrapane z wiekowej farby drzwi prowadzą do tonących w ciemnościach korytarzy. W nocy oświetla je jedna, zwisająca z sufitu lampa. Te ponure, ciemne, zawsze otwarte korytarze rzucają strach na wąską uliczkę. Wydaje się, że wołają: Ludzie, miejcie się na baczności! Pamiętajcie, że na świecie grasują czarownice. W każdym zakątku czyhają na was biesy! I ludzie, znacznie gorsi od wszelakich biesów. Nie na próżno przecież stoją w niszach wykutych w murach kamienic na wiecznej warcie Madonny i Święci. Mury są stare, szare i zapuszczone, ale Madonny świecą czystym blaskiem sukien stale i systematycznie zamalowywanych błękitną, niebiańską farbą. Wieńce zdobiące ich głowy składają się zawsze ze świeżych, pachnących kwiatów. W ten sposób wierni chrześcijanie wyrażają im swoją wdzięczność za ich wieczną opiekę i trwanie na warcie.

Po cienistych uliczkach snują się ludzie-cienie. I kiedy do wąskiej przestrzeni między wysokimi murami wdziera się kawałek słońca, uliczka traci swoją dotychczasową szarą całość. Ulega rozbiciu na kilka ostrych zakątków i na szereg krzywych pasemek. Wydaje się, że za chwilę całkiem się rozpadnie, bo oto przerażone ludzkie cienie wydają się uciekać jak najdalej od uliczki po to, żeby znaleźć ocalenie przed groźącym tu niebezpieczeństwem. Chcą jak najszybciej wydostać się z tego miejsca, przypominającego dziurawy rękaw. Chcą dobiec do starego rynku. Tam, w pełnym świetle słońca, przyjdą do siebie, odzyskają pogodę ducha.

Jeśli dawniej Stare Miasto było sercem Warszawy, to stary rynek jest sercem tego serca.

Stary rynek swoim kształtem przypomina czworoboczną skrzynię. Jej bokami są czteropiętrowe na ogół kamienice o trzech lub czterech oknach. Wszystkie są szare ze starości i jedna do drugiej jakby podobna. To jednak tylko złudzenie. Każda bowiem kamienica posiada własną, niepodobną do innej twarz. Twarz z niepowtarzalnym wdziękiem. Wdziękiem podupadłego arystokraty. Jeśli tak jest, to co je trzyma razem? Co sprawia, że szczelnie do siebie przyciśnięte trzymają się twardo ramię przy ramieniu? Widocznie dlatego że wszystkie jak jeden mąż wpatrują się swoimi pozbawionymi powiek oczami w siedzącą na cokole, w samym środku rynku, syrenę. Prawdziwa czarodziejka z tej warszawskiej Panny Wodnej o bezczelnie obnażonych piersiach i zagiętym ogonie rybim. To ona właśnie, ze swoją tarczą i mieczem, rzuciła czary na stare kamienice. To ona przykuwa

Miasto

wzrok stojących na warcie w niszach kamienic Madonn i Świętych.

Czworoboczny rynek przypominający zamkniętą skrzynię nie jest normalnym placem targowym. Jest raczej podobny do ogromnej izby bez dachu. Wspólnej izby na użytek wszystkich tutejszych mieszkańców. Bawią się na nim dzieci. Hasają wokół syreny. Daleko od niej nie odbiegają. Nie potrafią. Syrena na nich także rzuciła czary. Na schodkach cokołu siedzą stare kobiety i liczą oczka w pończochach. Smutne prowadzą rozmowy. Uskarżają się na swój los. Jedna skarży się na to, że jej mąż grosza nie zarabia, druga, że mąż jej pije i na dodatek bije. Trzecia zaś obu im zazdrości, bo jej mąż od dawna już spoczywa w grobie. W letnie wieczory przechadzają się po placu robotnicy w samych kamizelkach. Do ust przyklepione mają papierosy. Często zatrzymują się przy cokole, na którym siedzi Panna Wodna i odbywają długie rozmowy.

Są tu sami swoi. Swoja też jest ta ogromna izba bez dachu. Czują się tu wolno i swobodnie tu oddychają.

Żydzi i Polacy są tu sobie jakoś bliżsi niż gdziekolwiek w Warszawie. Ciężka bieda jednakowo ich dotyka. Jednakowo ich przytłacza. Na Starym Mieście bogacze nie mieszkają. Cienie minionych pokoleń Żydów i Polaków są tu ze sobą splecione wspólną tajemnicą.

I oto właśnie widzimy, jak na placu przy Pannie Wodnej, zatrzymali się dwaj robotnicy. Po skończonej robocie, w drodze do domu spotkali się i przywitali. Rozmowę zagaił jasnowłosy, rosły robotnik:

— Jak tam u ciebie z pracą?

Pytanie nie należało do zdawkowych. Nie chodziło mu o to, żeby byle co powiedzieć. Był po prostu ciekaw, czy kolega ma stałą pracę i czy z tej pracy jest zadowolony. Zapytany po krótkim wahaniu odpowiedział:

— Izraelu, szczerze ci powiem, jak jest z moją pracą. Nie leży mi ona na sercu. Powiedz sam, czy malowanie kwiecistych szlaczków na ścianach mieszkań przy ulicy Franciszkańskiej jest właściwą pracą dla takiego jak ja prawdziwego malarza? Oby tych bruchatych facetów szlag trafił! Czy po to warto było mnie, Szajkę, przyjechać do Warszawy?

Blondyn poklepał go po ramieniu i powiedział:

— Bądź cierpliwy. Poczekaj. Nie od razu Kraków zbudowano.

Człowiekowi patrzącemu na nich z boku mogło się wydawać, że tylko jeden z nich był prawdziwym robotnikiem. Na robotnika właściwie wyglądał Szajke. On bowiem miał na sobie koszulę i spodnie upstrzone różnymi kolorowymi farbami używanymi przez pokojowych malarzy. Prawdziwa paleta. Zdziwienie budził tylko fakt, że tylna część jego ubrania także pokryta była wielobarwnymi plamami.

W przeciwieństwie do Szajki, Izrael miał na sobie czyste, porządne ubranie, ładną koszulę z miękkim kołnierzykiem i krawat. W ręku laska i na palcu złoty pierścionek ślubny. Ale złotem błyszczał nie tylko palec. Kiedy uśmiechając się otwierał usta, złotem błyskały jego zęby.

— Nie masz cierpliwości, Szajke — łagodnym głosem skarcił go Izrael. — Zrozum, że Warszawa to nie miasteczko. To głęboka otchłań. Tu tylko dzięki cierpliwości i energii do czegoś dojdiesz. Czy byłeś już u Rytowa?

— Właśnie od niego wracam.

I mówiąc to Szajke zagapił się na dach jednej z wysokich kamienic. Patrzył i patrzył. Wzroku nie mógł od niego oderwać. Oto bowiem dostrzegł wśród czarnych od starości dachówek szeroką, szklaną, czworoboczną łatę.

— A niech go jasny piorun trzaśnie! Ma teraz u siebie modelkę.

Izrael przerwał mu dalszy tok wywodów:

— I w tym ubraniu byłeś u niego?

Szajke z początku nie zrozumiał pytania Izraela. Ze zdumieniem w oczach spojrzał na niego. Dostrzegłszy, że ten krytycznie ogląda jego usiane plamami ubranie, połapał się, w czym rzecz i natychmiast wybuchnął śmiechem. Wąziutkie jego oczy nagle przekształciły się w skośne szparki otoczone cienkimi zmarszczkami.

— Prawdziwy Chińczyk — szepnął jakby do siebie Izrael.

— A ty uważasz, że powinienem być na jego cześć przebrać się w porządną garnitur? Kim właściwie jest ten Rytow? Czy nie takim samym jak ja malarzem?

Bieda, Żyd, Polak

Praca

— Tak, ale z pewną małą różnicą. Rytow to znacząca już dziś postać. To sławna szycha. To malarz obsypany wieloma nagrodami.

— Tfu! Widzę, że i z ciebie, Izraelu także zrobił się już burżuj. Dlatego, że on posiada własne atelier, że może sobie pozwolić na kupno płótna bez ograniczeń, że stać go na modelkę, że piszą o nim w gazetach, ja, Szajke, mam się przebierać? Ja Izraelu, wracam z roboty.

I mówiąc to, uderzył się w pierś. Od tego uderzenia tuman kurzu wystrzelił z jego koszuli.

Izrael widząc, że go nie przekona, dał za wygraną. Uśmiechnął się i zapytał:

— Czy Rytow ma twoje rysunki i obrazy?

— Tak.

— I co powiedział?

— Że bardzo mu się podobają.

— A konkretnie?

Na twarzy Szajki pojawił się grymas. Oczy mu się jeszcze bardziej zwężyły. Zupełnie jak u skośnookiego Chińczyka. Podrapał się po głowie i wypalił:

— Cholera go wie! Powiedział, że mam dalej pracować.

— A ty, sam, nie wiedziałeś o tym?

— Powiedz szczerze Izraelu, czy taka praca ma dla mnie sens? Czy doprowadzi mnie do upragnionego celu?

Z żalosej miny na twarzy Szajki można było wyczytać błagalną prośbę, żeby Izrael uwolnił go od ciężaru, jakim był obowiązek kontynuowania nie ulubianej pracy. Mimo przyznania się do lenistwa, nie utracił jednak Szajke sympatii Izraela.

— A niech cię kule biją, Chińczyku — zawołał Izrael i szybko machnąwszy ręką dodał:

— Z ciebie, Szajke, będzie taki malarz artysta, jak ze mnie tancerz. Ze wszystkich twoich talentów pozostanie ci tylko sztuka gwizdania.

Szajke stanął w rozkroku i założywszy ręce na boki powiedział:

— A co? Słyszałeś kiedyś lepszego ode mnie gwizdacza?

Izrael roześmiał się. W jego otwartych zębach błysnęły złotem zęby. I nagle Szajke spowaźniał. Przesunął czapkę na sam czubek głowy i z całą powagą oświadczył:

— Dajmy temu spokój Izraelu. Powiedz mi lepiej, co słyhać z moimi wierszami. Czy wreszcie kiedyś zobaczą choć jedno moje słowo w druku?

Izrael przyrzekł mu, że w najbliższym numerze „Zeszytów Partyjnych” ukażą się jego wiersze. Szajce to jednak nie wystarczyło. Dalej napierał na Izraela:

— Kiedy się ukażą?

— Zrozum Szajke. Nie można przecież całego numeru czasopisma wypełnić wierszami. Brakuje nam jeszcze sporo innego niż wiersze materiału. Właśnie dzisiaj wybieram się do Szmuela po odbiór wstępnego artykułu. Bądź cierpliwy.

Szajke jednak cierpliwością nie grzeszył. Jego muza nie chciała czekać. W kieszeni błyszczących od farby spodni, miał właśnie nowy wiersz. Wahał się, czy go pokazać Izraelowi. Przecież ten nie zdążył jeszcze wydrukować poprzednich jego wierszy. Nie, nie pokaże go.

Podniósł głowę i wlepił wzrok w dach kamienicy. W jego „chińskich” oczach tlił się jakiś promieniejący płomyk i na wargach błąkał się uśmiech niewinnego dziecka. Na dachu stał chłopczyk i machał w powietrzu kijem pięciokrotnie dłuższym od siebie. Do kija przywiązana była szmata. Powiewał nią, tak jakby odprawiał jakieś czary. Może chciał przemalować całe niebo wiszące nad rynkiem Starego Miasta? A może machał szmatą na zachodzące słońce, bo chciał je zatrzymać. Prawda okazała się prostsza. Chłopiec dyrygował gromadą srebrzystych gołębi. Wysoko w powietrznej przestrzeni krążyły srebrzystobiałe ptaki. Miało się wrażenie, że to nie ptaki, ale kwiaty, które wysypywały się z różowego obłoku. Kiedy gromadnie spadały koszącym lotem na dach, zamieniały się w jedną, dużą stertę czarnych szmatek, po czym natychmiast zrywały się znowu do lotu i znowu upodobały się do srebrnych kwiatów. I w tej właśnie chwili zapłonęły od obłoku pod słońcem różowym kolorem. Ochłonawszy od tego widoku Szajke wrócił do przerwanej rozmowy:

— W moim miasteczku Izraelu, indyki o tej porze idą już spać. Przytulają się do siebie, opowiadają sobie wczorajsze sny. A brzmi to tak:

— Tiu-liu! Lu, lu, lu! Tiul, tiul, tiul.

Te dźwięki wyraził Szajke gwizdaniem. I robił to znakomicie. Uzmysłowił Izraelowi treść owych dźwięków w taki sposób, że ten wybuchnął głośnym śmiechem, po czym zawołał:

— A niech cię lichy porwie, ty mój poeto!

Ty mój gwizdaczu. Dobranoc.

Przełożył z jidysz Michał Friedman

Niniejszy fragment pochodzi z pierwszej części powieści Altera Kacyzne *Silni i słabi*.

Dźwięk

---

Ten utwór jest udostępniony na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa - Na Tych Samych Warunkach 3.0.PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/kacyzne-stare-miasto>

Tekst opracowany na podstawie: Alter Kacyzne, Stare miasto, „Midrasz” nr 13 (45), styczeń 2001, s. 52-54, ISSN 1428-121 X.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z książki udostępnionej przez Fundację im. Michała Friedmana. Dofinansowano ze środków Programu Archiwistyka Społeczna Narodowego Instytutu Audiowizualnego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Natalia Judzińska, Wojciech Kotwica.

Okładka na podstawie: Agata Środa, CC BY SA

ISBN 978-83-288-0331-2

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając [zbiórkę na stronie wolnelektury.pl](http://wolnelektury.pl).

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](http://wolnelektury.pl).